

MAYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

I.

Zamiast przepędzić noc w zajeździe we wsi, gdzie musiałem zmienić świeże konie i gdzie mógłbym błędnie Maryę uchronić choć na kilka godzin przed zimnem, wybrałem się napowrót w drogę w obawie jakiego pościgu.

Śnieg padał coraz gęściej i noc ciemna była, rozjaśniona tylko od czasu do czasu nikłymi promieniami księżyca, przedzierającymi się przez chmury. Drzewa, które mijaliśmy po drodze, rzucały ponure cienie na całun śnieżny, pokrywający ziemię całą. Pędziliśmy jednak pomimo utrudnionej drogi z taką szybkością, że w pewnej chwili sanie zahaczyły się o jakiś kamień i jeden z koni został zabity.

Znajdowaliśmy się wówczas w miejscu zupełnie opustoszałym. Nigdzie, jak oko dosięgło, znaku zabudowania lub światła, prócz całuna śnieżnego, rozciągającego się wokoło!

Pocztylioni wraz ze mną kłębili się jak potępienci. Starali się oni jak najlepiej naprawić szkodę wyrządzoną, ale oświadczyli mi w końcu, że niemożliwością jest jechać dalej tylko o jednym koniu.

Staliśmy więc tam już przeszło pół godziny, sami, otoczeni ciemnością nocy, kiedy doszedł mnie nagle szybki tentent zbliżającego się zaprzęgu. Przez chwilę pomyślałem, że ktoś przybywa nam z pomocą, lecz przypomniałem sobie zaraz o tej trójce, którą dojrzałem za dnia i która zdawała się nas ścigać z taką zaciekłością. Łudziłem się przecież nadzieją, że to nie niebezpieczeństwo zbliża się ku mnie, lecz naprawdę pomoc niespodziewana.

Kim by miał być ten człowiek, nadjeżdżający ku mnie, odkupię od niego na wagę złota jednego konia, ażeby go przyłączyć do mojego i móc puścić się w dalszą drogę.

Tentent zbliżał się. Umieściliśmy się z moimi saniami w poprzek drogi. Pocztylionom moim powiedziałem, że spodziewam się ratunku od ludzi przybywających, sam zaś byłem gotów ratunek ten wydrzeć im choćby przemocą i siłą.

Wkrótce trójka ukazała się na drodze, pędząc wyciągniętym galopem. Uzbrojony byłem w dwa rewolwery i sztylet, z którymi nie rozstawałem się nigdy. Stałem na środku i dałem znak powożącemu trójką, aby się zatrzymał.

Człowiek ten owinięty był w duży płaszcz futrzany, a na głowie miał czapkę barankową głęboko nasuniętą na oczy.

Zdawało się, że chce przejechać, nie zważając na przeszkodę, choćby po moim ciele, ale podskoczył nagle i uciepiał się z całych sił cugli pierwszego konia.

Trójka zatrzymała się jak wryta w ziemię. — Kłokolwiek jesteś — zawołałem — musisz nam pomóc. Ustąp mi swoich sani i koni, a dam ci, co zechcesz!

Człowiek zeskoczył na ziemię i odpowiedział strasznym, wzburzonym głosem.

— Przybywam do ciebie po Maryę, podły złodzieju kobie!

— Ona tu jest! — wykrzyknąłem tryumfująco, wybuchając ironicznym śmiechem. — Ale ty jej nie dostaniesz, Johannie Siraube!

W chwilę później, o kilkanaście metrów od mojego zaprzęgu rozpoczęła się straszna walka pomiędzy mną a kochankiem Maryi.

Związałem się ramionami tak silnie, że żaden z nas nie mógł wydobyć broni. Wściekłym szale gniośliśmy sobie piersi aż do zaduszenia, wydzielaliśmy sobie kawałki ciała z twarzą, gryźliśmy się, jak dwa psy wściekłe. Choć tamten był silniejszy i młodszy odemnie, dotrzymywałem mu placu, bo rozpacz i gniew nieprzytomny wyolbrzymiał w tej chwili moje siły. Jednakże szukałem sposobu dostania się do mojego sztyletu, bo przeczuwałem, że ten człowiek w dłuższej walce okazać się może zwycięzcą. Po rozpaczliwych wysiłkach udało mi się nareszcie uwolnić jedną rękę i kiedy on przyciskał mi kolana do piersi i rękami dusił moje gardło — zręcznym ruchem zagłębiłem mój sztylet w jego piersiach.

Johann Siraube wyzionął ducha natychmiast. Czulem, jak ręce jego wypuszczają mnie z uścisku i sztywnieć zaczynają wokoło mojej szyi.

Ciało jego zważyło się na ziemię jak kłoda. Powstałem szybko, pochwyliłem jednego konia za uźdę i podciągnąłem całą trójkę do moich sanek.

Pocztylioni spoglądali na mnie ze zdziwieniem i grozą, lecz nie wyrzekli ani słowa. Walka trwała krótko i rozegrała się w pewnej odległości od nich. Zrozumieli tylko, że siłą musiałem odebrać konie podróżnemu.

Lecz jakież szalone było moje zdumienie, kiedy powróciwszy do swoich sanek, zastałem Maryę napół wyprostowaną na poduszkach, z oczami błędnymi, wlepionymi we mnie. Na twarzy jej sinej bladeści malował się wyraz szalonego lęku i zgrozy.

Pochyliła się ku mnie nadludzkim wysiłkiem i z ust jej, wykrzywionych konwulsyjnie, padł jeden tylko, jedyny wyraz:

— Morderco!

Rzuciłem się ku niej, miotany dwoma sprzecznymi uczuciami, radością i gniewem, lecz ona w tejże samej chwili opadła ciężko na poduszkę i znowu zapadła w ciężki sen letargiczny. Naprawiliśmy sanie, posługując się osłą zaprzęgu mojego zabitego rywala i ruszyliśmy w dalszą drogę ku Warszawie.

Ciało Johanna Siraube pozostało na drodze w zaspach śnieżnych, na pastwę kruków, grasujących śladami po tych bezkresnych ścieżkach Rosyi.

Przybyliśmy do Warszawy bez żadnego wypadku i pozostaliśmy tam dni piętnaście. Stan Maryi w tym czasie pogorszył się jeszcze. Nie była już to istota żyjąca, tylko posąg biały, blady, leżący z rozkrzyżowanymi ramionami, nie dający najmniejszego znaku życia. Powieki jej przybrały straszny, zielonkawy odcień, a na jej twarzy zamalował wyraz obłędnej trwogi i wstrętu. Wyraz ten, datujący się od chwili śmierci Johanna Siraube, nie znikł już nigdy z jej pięknej twarzy.

Byłem tak zrozpaczony, że odważyłem się na przywołanie najslawniejszych lekarzy z Warszawy, aby usłyszeć ich zdanie co do zatrważającego stanu Maryi.

Oczywiście nie zdradziłem im, w jaki sposób zapadła w ten stan letargiczny, lecz jeden z nich odgadł całą tajemnicę i wyszedłszy ze mną do drugiego pokoju, wprost oświadczył mi kategorycznie, że to ja jestem przyczyną letargu Maryi i że popełniłem straszną nieostrożność, zmuszając ją do przyjęcia mojej sugestii hipnotycznej. Na zapytanie moje, co czynić należy, aby ją nareszcie wyrwać z tego śmiertelnego snu, odpowiedział, że jedynie jakiś silny, dotkliwy ból fizyczny odnieść może pożądaną skutek. Następnie objaśnił mi, że najskuteczniejszą jednak rzeczą byłoby przystąpić do jakiegokolwiek operacji, uczynionej na martwym ciele Maryi.

Lecz myśl ta była w pierwszej chwili tak straszną dla mnie, że nazajutrz wyjechałem z Warszawy, aby się udać do Paryża.

Podróż z tą kobietą, zamartwą w śnie kataleptycznym, była dla mnie bardzo ciężka i przedstawiała wiele niebezpieczeństw z powodu podejrzeń, które obudzałem wszędzie. Musiałem przecież zwalczyć wszystkie przeszkody przy pomocy pieniędzy, przebiegłości i zuchwalstwa. Po przybyciu do Paryża udałem się znowu po poradę do lekarzy. Kilku najslawniejszych profesorów medycyny oświadczyło mi, że Marya jest zgubiona i że nic już ją uratować nie może. Jeden tylko — doktor-hypnotyzer — powtórzył mi to, co już słyszałem w Warszawie. Aby wyrwać Maryę z tego snu, trzeba było, aby odczuła jakiś ból straszny, dotkliwy, któryby siłą swoją obudził w niej zamierające życie!

Wiercie mi, wy, którzy czytacie teraz tę spowiedź moją, że pomimo tego zapewnienia, które sam uznawałem za konieczne, wahałem się jeszcze dwa miesiące, zanim zdecydowałem się na ten krok ostateczny. Ludziom czyn ten wyda się oczywiście czemś ohydnie podłym i strasznym, lecz ja przywołać chciałem do życia nad wszystko ukochaną kobietę, a nie mogłem znieść tej myśli, abym ją miał stracić na zawsze! Sądzę, że u tych, którzy kochali kiedyś głęboko, do szalu, do zbrodni, do nieprzytomności zmysłów — łatwo uzyskać mogę przebaczenie.

Oh! ta noc! ta noc okropna, podczas której dokonałem tego czynu! Nie zapominałem jej nigdy. Nocy tej, te reszki włosów, które chroniły jeszcze moją czaszkę огоłoconą — osiwały zupełnie! Nigdy już — a cierpiałem jak potępieniec przez całe moje życie — nie doznałem tak okropnego bólu, jak wówczas, kiedy przy pomocy najpierwszego z chirurgów Francji, dokonałem

na ciele Maryi tej operacji, mającej jej powrócić życie — amputacji tej pięknej, białej jak marmur ręki!

Oh! ten okrzyk! ten wstrząsający, okropny, nieludzki krzyk mojej ofiary! Był to krzyk dzikiego zwierza, ugołzonego śmiertelnie. Musiałem szalenie kochać Maryę i aż do zbrodni pragnąć jej powrotu do życia — jeżeli na krzyk ten nie oszalałem, nie stałem się sam dżimkim zwierzem, wyjącym z bólu i wściekłości!

Byłem w posiadaniu cudownej tajemnicy konserwowania ciała ludzkiego, zachowującą mu pozór życia pierwotnego. Tajemnicy tej zawdzięczam sławę moją i majątek. Byłem więc pewnym, że rękę Maryi potrafię zachować nienaruszoną, żywą prawie. Lecz kiedy ujrzałem okrwawione, zohydzone ramię Maryi, jej ciało wijące się w konwulsjach nadludzkiego bólu, kiedy usłyszałem z ust jej ukochanych słowo przekleństwa i nienawiści, spadające na moją głowę, kiedy ujrzałem przepiękne jej oczy, gorejące wstrętem i pogardą — wówczas uczulem po raz pierwszy wyrzut i żal do siebie, iż nie pozostawiłem Maryi śmierci, czyhajacej już na nią!

Oh! tak! w tej chwili byłbym wolał widzieć ją zamierającą śpiąco w śnie kataleptycznym! Ale kochałem ją jak potępieniec, a szal miłości w istotach takich jak ja, nieszczęśliwych i dumnych, przybierze najczęściej formę najpodlejszego okrucieństwa!

Świadomie, z premedytacją, dokonałem zamachu na niepokalaną piękność Maryi i na zawsze odrzuciłem od siebie jej duszę!

Ofiara moja dosyć szybko powróciła do zdrowia. Piekielny ból, odczuły przy amputacji, wyleczył ją na zawsze z katalepsy. Ramię jej zaś zagoiło się normalnie dzięki opiece i staraniom lekarza, któremu zaufałem zupełnie i dzięki jej młodości, ożywionej krwią zdrową i silną.

Nazajutrz po operacji nocą, płacząc jak dziecko, przystąpiłem do zabalsamowania tej ręki, którą z własnej woli oddałem od ciała Maryi. Przerywałem co chwilę moją pracę, aby ucałować jej zlodowaciałe palce i oblać je gorącymi łzami rozpacz. Przyznać muszę, że dokonałem arcydzieła w swoim rodzaju, dając tej ręce uciętej świeży, niekłamliwy pozór życia. Obciążyłem jej smukłe palce najbogatszymi pierścieniami, napoiłem tę skórę delikatną, cienką i przezroczystą najwybredniejszymi zapachami i złożyłem na posłaniu, uczynionem z czarnego aksamitu, w szkatulce, którą zabierałem zawsze ze sobą, kiedy wypadło mi gdzie wyjechać i opuścić na czas jakiś Maryę.

Kiedy Marya spała sama w swoim pokoju, do którego wejścia broniła mi zawsze niepokonana i niezwyciężona — spędzałem noce całe w swoim gabinecie, wpatrując się bez przerwy w tę rękę uciętą i zdawało mi się, że z tej drogiej, bezcennej relikwii mojej czerpię nowe siły i energię do życia.

Ale od dnia fatalnego, w którym to zgubiłem tę rękę w wagonie na linii Neapoli-Rzym — przeczulem już, że jesteśmy wszyscy zgubieni i że Marya, Alimena i ja umrzeć musimy.

Lecz pomiędzy mną a kobietą, której zabrałem wszystko, męża, córkę, majątek i stanowisko w świecie i której prócz tego zabrałem kochankę, wolność i cześć jej piękności — zawiązały się stosunki tak dziwaczne, tak szczególne dla mnie i dla niej, że nie wiem doprawdy, jak mogliśmy przetrwać to wszystko przez lat piętnaście. Była więźniem moim, to prawda, ale więźniem tak dumnym, tak wyniosłym, że ja raczej byłem niewolnikiem, oddanym jej usługom i kaprysom. Widziała, jak zamordowałem Johanna Siraube i ilekroć tylko mogła, rzucała mi w twarz wyraz: „Morderco!” Była w mojej mocy i często gniew mój dochodził do granic nieprzytomności umysłu, lecz kiedy zbliżałem się do niej, aby ujarzmić ją siłą lub podstępem, ona pobijała mnie taką pogardą, że odchodziłem zniechęcony i upodlony jeszcze więcej jej urokiem. Po stokroć razy mogłem pojąć tę kobietę, której krew moja pragnęła całą siłą — lecz nie dotykałem jej nawet! Jakaś szalona nadzieja wstrzymywała mnie od tego — nadzieja, że miłość moja musi kiedyś ją wzruszyć, że ją zdobędę przecież uporem moim, stałością i obietnicą powrócenia jej córki.

A przytem liczyłem na czas i samotność. A przecież ani razu nie wyszedłem z pokoju tej kobiety, aby mnie stamtąd nie wypędziła jej pogarda i obraźliwe słowa, które mi zawsze obrzucała.

(C. d. n.)